

„W głębi ducha pozostałem radiowcem” – jubileusz literacki Henryka Bardijewskiego

Iwona Smolka: Dobry wieczór państwu, witam wszystkich bardzo serdecznie w imieniu Domu Kultury Śródmieście i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich na bardzo ważnym jubileuszu pana Henryka Bardijewskiego. Laudację wygłosi Wacław Tkaczuk, utwory jubilatą czytać będzie Andrzej Ferenc, a ja zacznę od krótkiego przedstawienia bohatera dzisiejszego wieczoru.

Henryk Bardijewski urodził się 7 stycznia 1932 roku w Częstochowie. W 1962 wydał swój pierwszy tom opowiadań zatytułowany *Rysunki na piasku*. Ukończył polonistykę i bibliotekoznawstwo. Zadebiutował 60 lat temu, w 1952 roku, fraszką opublikowaną w „Szpilkach”. Pozostał wierny temu piśmiu przez wiele lat, do 1979 roku zamieszczał tam swoje teksty. Ale od 1956 roku dał się poznać także jako autor słuchowisk radiowych. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich tytułów dzieł, które napisał pan Henryk Bardijewski. Myślę, że jest to kilkadziesiąt dramatów scenicznych, kilkadziesiąt słuchowisk, kilkanaście tomów opowiadań i powieści oraz liczne utwory sceniczne dla dzieci. Można więc powiedzieć, że te 60 lat, które minęły od debiutu, zostały wypełnione żyzną pracą, ponieważ mniej więcej co dwa lata ukazywały się kolejne książki. Do tego trzeba dodać utwory drukowane w „Dialogu”, wystawiane na scenie lub w Teatrze Polskiego Radia. W tym roku ukazały się trzy książki Henryka Bardijewskiego: tomy opowiadań *Przelotna radość* i *Blisko, za blisko* oraz tom słuchowisk radiowych. Jest to, jak widać, swoisty rekord, bo mamy dopiero marzec. Jedna książka na miesiąc, panie Henryku! Skoro już powiedziałam, jak pracowity i obdarzony talentem – bo sama pracowitość to za mało – jest nasz jubilat, to jeszcze dodam, że dzisiejszego wieczoru czeka nas niespodzianka. Witam bardzo serdecznie pana Wojciecha Świdzińskiego, przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wojciech Świdziński: Szanowni państwo, mam przyjemność poinformować, że Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego pan Bogdan Zdrojewski, na mocy Ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej, w uznaniu nieocenionych zasług dla kultury polskiej, odznaczył pana Henryka Bardijewskiego srebrnym medalem zasłużonych kulturze Gloria Artis, które to odznaczenie mam przyjemność wręczyć (*długie oklaski*).

Iwona Smolka: Zacznę od pytania, czy pamięta pan swoją pierwszą sztukę wystawioną na scenie. Jak pan przyjął taki debiut i co się działo wtedy w pana sercu?

Henryk Bardijewski: Chciałbym najpierw powiedzieć, że pani Iwona mnie trochę postarzyła. Ten debiut w 1952 roku polegał na tym, że napisałem fraszkę. Ukazała się wtedy powieść Igora Neverlego *Pamiętka z celulozy*. Napisałem w mojej fraszce: „Nareszcie kawał autentycznej prozy, powieść nie z papieru, ale z celulozy”. Ukazało się to

w „Szpilkach”. Potem zamilkłem na 3 lata, tak więc trudno mi to uznać za debiut. Zadebiutowałem tak naprawdę w 1955 roku, też w „Szpilkach”, i potem bardzo szybko w radiu.

Iwona Smolka: Potem wystawił pan swoją sztukę. Jak to było?

Henryk Bardijewski: Najpierw napisałem sztukę *Bibliosprawy i bibliosprawy*, która spoczywa do dzisiaj w szufladzie. Straszna to była rzecz. Natomiast pierwszy raz zobaczyłem swój utwór na scenie chyba w Gdańsku, w Teatrze Ziemi Gdańskiej. Potem wystawiałem kolejne i nadszedł czas, kiedy moje utwory były grane w wielu teatrach w Polsce.

Iwona Smolka: Ale jakie są odczucia autora, który widzi na scenie coś, co wyszło spod jego pióra, a potem zmienia się w coś zupełnie innego?

Henryk Bardijewski: Byłem wychowany przez radio i teatr dał mi możliwość zobaczenia słowa. Zobaczyłem aktorów, zobaczyłem publiczność. Jest to spore przeżycie – móc obserwować reakcje publiczności, jednak myślę, że w głębi ducha pozostałem radiowcem, to znaczy składałem słowa, których powinno się słuchać, niekoniecznie zaś je oglądać.

Iwona Smolka: Pracował pan przez bardzo wiele lat w dziale literackim Polskiego Radia, w redakcji humoru i satyry. I zdaje się, że tam był kabaret...

Henryk Bardijewski: Miałem dużo szczęścia, ponieważ jeszcze na studiach poznałem Zenona Wiktorczyka. Myślę, że to nazwisko wielu z państwa sporo mówi. To on zaprosił mnie do radia, a tam poznałem wyjątkowe osoby, właśnie w redakcji satyry, która potem przekształciła się w „Zespół Dziewiątkę”. Być może niektórzy z państwa pamiętają, że istniało coś takiego. Byli tam znakomici ludzie, przede wszystkim wspomniany już Zenon Wiktorczyk, który szefował temu zespołowi na zmianę z Ludwikiem Górskim, tłumaczem i satyrykiem. Było tam też dwóch starszych panów, którzy wówczas nie byli jeszcze starszymi panami – Jeremi Przybora reżyserujący wtedy w radiu moje słuchowiska i Jerzy Wasowski – jak o nim wówczas mówiliśmy – „oprawca muzyczny”. Oprócz nich jeszcze dwóch przedwojennych oficerów, Ziemowit Kuniński oraz Jerzy Medyński i dodatkowe dwie osoby spoza radia – Andrzej Nowicki, znakomity tłumacz z języka angielskiego i również satyryk, oraz Joanna Wilińska, związana ze „Szpilkami”, jedyna pani wśród nas. To był zespół, w którym dobrze się czułem, który mi pomagał i dzięki któremu mogłem pisać słuchowiska. Potem, na początku lat 70., przeszedłem do redakcji słuchowisk. Tam już spotkałem się z rówieśnikami. Dłużej lub krócej działali w tej redakcji pisarze Włodzimierz Odojewski, Janusz Krasiński, Jarosław Abramow-Newerly, Kazimierz Orłoś i nieżyjący już, niestety, Jerzy Krzysztoń, Władysław Terlecki, Marian Grześczak.

Iwona Smolka: Przypomniam sobie pana dramat *O co pytać starego człowieka*. Jego bohater uwierzył w to, że jest nosicielem zła. I w pewnym momencie mówi: jakże łatwo można się pozbyć człowieczeństwa i wyprzeć się tego, że jest się człowiekiem. Oprócz tego pada tam takie zdanie, że absurd właściwie nie da się uchwycić – póki absurd „siedzi” na ziemi, nie można go „ustrzelić”. Absurd, który panuje

w tej rzeczywistości, obejmuje swoim zasięgiem wszystkie poczynania ludzkie, sposób myślenia i działania postaci, jawi się jako ich siła napędowa...

Henryk Bardijewski: Jest to jedna z moich starszych sztuk. Ukazała się w serii PIW razem z czterema innymi dramataми. *Nota bene* była ona emitowana w radiu w formie słuchowiskowej, nigdy jednak nie trafiła na scenę.

Iwona Smolka: A jak pan myśli dlaczego? Przecież aż się o to prosi. W tym utworze jest chór starców – jak w tragedii greckiej, temat również wydaje się nośny. Sztuka mówi o tym, jak łatwo pozbawić kogoś życia, jeśli demagogia zawładnie ludzkimi poczynaniami.

Henryk Bardijewski: Nigdy nie rozumiałem, dlaczego w teatrze jedno moje sztuki są grane, a inne nie. Jest to dla mnie zupełną tajemnicą.

Iwona Smolka: Dziękuję bardzo. Pan Andrzej Ferenc przeczyta nam teraz jedno z pana opowiadań.

Andrzej Ferenc: „Jeszcze o dziewiętej obawiano się, czy manifestacja dojdzie do skutku – o dziesiątej już było wiadomo, że pochód będzie imponujący. Dzień był pogodny, ptaki latały wysoko, ludzie zasiadali w oknach i na balkonach. Grzegorz ma lat siedemdziesiąt pięć, ja jestem o rok starszy – młodszych od nas się nie widziało.

– Wygląda na to, że jesteśmy najmłodszy – powiedziałem, patrząc na stojących wkoło manifestantów.

Siwych głów było więcej niż tysiąch, może zresztą dlatego, że przyszło wyjątkowo dużo kobiet i wciąż dochodziły nowe. Takiego zgromadzenia starości nie widziało jeszcze żadne miasto, pomyślałem, a Grzegorz nawet to powiedział.

– Nasz protest – dodałem – odbije się głośniejszym echem w całym świecie. Popatrz tylko, ile zjechało ekip telewizyjnych i radiowych!

Rzeczywiście, filmowano nas bez przerwy, podsuwano też mikrofony, abyśmy sami mówili, jakby mało było tego, co mówiły transparenty.

– Najpierw chyba pójdziemy pod ministerium zdrowia – rzekł stojący obok nas krzepki starzec z kolczykiem w uchu.

– Ja bym pomaszzerowała od razu pod parlament – odezwała się staruszka w dżinsach i skórzanej kurtce.

– Po drodze jest siedziba premiera – przypomniał Grzegorz.

– Czy będziemy rzucać petardy? – odezwał się ktoś na wózku.

Wiele osób mówiło, lecz mało kto słyszał. Lepiej było z widzeniem, ale też nie za dobrze, bo wciąż witano mnie jako znajomego, chociaż poza Grzegorzem nie znałem nikogo. Dookoła tykano jakieś pigułki i popijano wodą. Ktoś przemawiał, ale głośnik chrząkał i nic nie można było zrozumieć.

– Skąd oni wzięli taki stary głośnik? – dziwił się starzec z kolczykiem w uchu.

Wreszcie ruszyliśmy. Byłe nie za prędko, wołano z tyłu. Byłe nie za wolno, wołano w przodzie, to pochód, nie kondukt! Wiele osób niosło parasolki. Od deszczu, słońca i policji, mówiono. Ale policjantów jakby w ogóle nie było. Jeżeli gdzieś są, mówiono, to po cywilnemu i tak starzy, że nikt ich nie odróżni od naszych manifestantów. Od czasu

do czasu z balkonów rzucono nam jakiś kwiatek. Czoło pochodu doszło do katedry i tam przystanęło.

– Nie zatrzymywać się pod katedrą! – padł rozkaz nie wiadomo skąd.

– Dlaczego nie? – obruszył się Grzegorz. – Ja bym katedry nie pomijał. Bóg nas widzi gdziekolwiek jesteśmy, ale nie można tego powiedzieć o Jego ludziach. Jeżeli nie wejdziemy im w oczy, to nas nie zobaczą.

– Nie zatrzymywać się! – powtórzono rozkaz i pochód ruszył dalej.

Żebrek spod katedry długo się wahał, czy pójść z nami czy nie, ostatecznie został – żywa, należąca do budowlanej rzeźby. Zresztą był za młody. Tuż obok katedry jest więzienie, tu nikt nawet nie zwolnił. Pomknęliśmy od razu pod ratusz. Tam już czekał mer miasta i jego rajcy, a na stronie, na wszelki wypadek, jacyś młodzi cywile w kominiarkach.

– Czy będziemy rzucać jajkami? – dopytywał się ktoś na wózek.

– Można by podpalić oponę – rzekł Grzegorz. – Gdyby ktoś pomyślał o oponie.

Ale nikt nie pomyślał. W ogóle pochód nie był dobrze przygotowany. A przecież niektórzy szkowali się do niego po osiemdziesiąt i więcej lat. Starość, przeciw której wyszliśmy na ulice, sprawiła, że zapomniano się niejedno, nie pomyślano się o drugim, wiele rzeczy niestusznie zlekceważyło. Na przykład przemówienia. Mówców mamy lichych, bez głosu, nierzadko bez zębów, a do tego kłótliwych i gadatliwych ponad miarę. Ale tym więcej jest powodów do protestu. Nie godzimy się na taką starość, a część z nas nie godzi się na żadną i to należy władzom jasno i dobitnie powiedzieć.

Znając naszych mówców, napisaliśmy z Grzegorzem memoriał, co wszystkich podniosło na duchu. Memoriał zawsze robi dobre wrażenie i tym razem też zrobił. Mer przyjął go z zadowoleniem, szybko przejrzał i obiecał poparcie, nie ukrywając jednak, że sprawa jest trudna.

– Z kulturą można sobie poradzić – zwrócił się osobiście do najbliższych stojących manifestantów – ale w waszym przypadku w grę wchodzi natura. Starzenie się to jej domena. Naciski na naturę są jak dotąd mało skuteczne, ale będziemy próbować.

– Jak na niego to i tak dużo – skomentował Grzegorz, który znał mera i jego niechętny stosunek do wszelkich manifestacji.

Potem ruszyliśmy pod siedzibę rządu. Aleja prowadziła pod górę, wiele osób osłabło, inne zaczęły odstawać i pochód stracił swój impet. Grzegorz, jako najmłodszy i najsilniejszy, mimo woli znalazł się na czele, a ja chcąc nie chcąc tuż za nim. Kroku dotrzymywały nam kobiety, wytrzymalsze od mężczyzn, również osoby na wózkach radziły sobie nadspodziewanie dobrze.

– Precz ze starością! – wznoszono słabe okrzyki, chociaż to samo można było przeczytać na transparentach.

– Trzeba było protestować znacznie wcześniej – narzekał Grzegorz. – Kiedy byliśmy młodzi. Dzisiaj sprawy zaszły już za daleko.

Miał na myśli głównie nasze organizmy, w których czas poczynił znaczne spustoszenia, lecz także naszą psychikę, bardzo sztywną i mało podatną na zmiany, jeżeli nie liczyć postępującego zaniku pamięci. Nawet mnie zdarzało się raz po raz zapomnieć,

gdzie i po co idziemy, a coś dopiero starszym ode mnie. Gdyby nie transparenty, mało kto by pamiętał, z czym i o co walczymy.

– Precz z zanikiem pamięci! – krzyczały kobiety, a mężczyźni wołali: – Sklerozie stop!

Gapiom stojącym na chodnikach wręczano ulotki. Wszystkie potępiały starzenie się organizmów – przede wszystkim ludzkich, ale braliśmy też w obronę zwierzęta. Starość jako taka, głosiły ulotki, powinna być wyeliminowana z życia społecznego, co najwyżej można by się starzeć za karę, w rezultacie prawomocnego wyroku sądowego. Ludzie z ochotą czytali nasze ulotki, a potem zachowywali je na pamiątkę.

Przed siedzibą rządu było pusto, jakby rząd wyjechał za granicę. Obłać ich farbą, radził starzec z kolczykiem w uchu, ale farby nikt nie miał. Na pierwszym piętrze ktoś wyglądał zza firanki. Czyżby premier? Nikt do nas nie wyszedł, ani stary, ani młody, nawet policji nie było, co by nas rozgoniła. Kompletnie lekceważenie! Inna sprawa, że rząd był świeży, jeszcze wszystkich ministrów dobrze nie policzył, a koalicja, na której się wspierał, właśnie się rozpadała. Ale co nas to, starych, obchodzi? Nasza sprawa jest ponadczasowa.

Już mieliśmy, pełni niesmaku, spod gmachu odmaszerować, kiedy uchyłono drzwi i wyszedł jakiś wiceminister. Na memoriał ani spojrzał, znam go, powiedział, na pamięć, wasza sprawa jest słuszna i będzie załatwiona. Skąd znał memoriał, nie wiadomo, widać odpowiednio służby pracują lepiej niż sądzimy. Albo się Grzegorz wygadał, albo ja, nikt z nas niczego nie pamięta – od takich ludzi jak my lepiej się trzymać z daleka. A wiceminister nie wzbudził zaufania. Że nasza sprawa jest słuszna, to sami wiemy – ale że będzie załatwiona?... Nowy rząd obieca wszystko, żeby utrzymać się przy władzy. Z likwidacją biedy nie może sobie poradzić, a coś dopiero kiedy w grę wchodzi starość...

Rozstaliśmy się chłodno i ruszyliśmy pod parlament. A tam tłok. Najlepsze miejsca na trawniku zajęte przez inne manifestacje. Przyjechali protestować nauczyciele, leśnicy, lekarze, stocznioowcy, filmowcy, rybacy, policjanci, pszczelarze, studenci i aktorzy. Do nich przeszły też od razu wszystkie media, przy nas nie został ani jeden dziennikarz. Nadciągały podobno kopalnie i przemysł zbrojeniowy. Budynek parlamentu widzieliśmy z daleka, to znaczy widział, kto miał lepszy wzrok. Hałas był okropny. Posłowie to wychodzili, to uciekali, potem znowu wychodzili i znowu uciekali, do nas w każdym razie żaden nie dotarł. To samo z senatorami.

– Tu nie wskóramy niczego – orzekł Grzegorz. – Inne manifestacje powinny nam ustąpić miejsca, bośmy najstarsi, ale kto dzisiaj ma szacunek dla siwej głowy...

Spojrzał na mnie i nagle zamilkł. Ja też byłem zaskoczony jego widokiem. Nie był już siwy, a jego twarz wygładziła się i pojaśniła.

– Gdzie są twoje zmarszczki? – zapytałem.

– A gdzie twoje?

Rozejrzeliśmy się dookoła. Nigdzie siwego włosa, twarze świeże, młode, tyle że bardzo zdziwione. Tylko transparenty zostały te same – jakże nie pasujące do naszego wyglądu! Manifestanci patrzyli na siebie z niedowierzaniem, słyszało się okrzyki przestrochu, zwłaszcza kobiety odczuwały zaniepokojenie nagłą przemianą. Mężczyźni odrzucali laski,

kilka osób wstało z wózków. Ludzie z sąsiednich manifestacji zaczęli nam się przyglądać podejrzliwie.

– A o co wam chodzi? – zapytał jakiś stoczniowiec.

– Protestowaliśmy przeciwko starości – wyjaśniłem.

– No i co?

– Poskutkowało.

– No widzicie – rzekł stoczniowiec. – Jak się mocno na nich naciśnie, to zawsze ustąpią. Boją się manifestacji ulicznych. Każda władza się boi.

No tak, pomyślałem, ale to nie oni ustąpili. Nie ta władza. Znacznie wyższa. Ta, do której dotąd zanosiło się tylko modły. Która dotąd znała jedynie procesję, nie pochody. Która, jak sądziliśmy, nie boi się nikogo ani niczego.

– Rozchodzimy się i spokojnie wracamy do domu – rozkazano. – Transparenty zabrać ze sobą, mogą się jeszcze przydać – jeżeli nie nam, to komu innemu.

Początkowy przestрах ustąpił miejsca radości. Żegnano się pospiesznie, każdy jak najprędzej chciał znaleźć się w domu, stanąć przed lustrem, obejrzeć dokładnie twarz i całe ciało, pokazać żonom, mężom i rodzinie. Po drodze spotykaliśmy starych ludzi, ale byli to tylko ci, którzy nie brali udziału w manifestacji.

– A mówiłem żonie – martwił się Grzegorz – przyłącz się do protestu, chodź z nami... A ona nie. No to teraz ma. Padnie, jak mnie zobaczy.

– Moja nie – powiedziałem. – Ja już takie numery wyprawiałem, że niczemu się nie dziwi. Przyzwyczajona do ekscesów.

– Do twoich tak, ale nie do ekscesów nieba – rzekł Grzegorz. – Do tego nikt nie jest przyzwyczajony. Zdaje się, że wymusiliśmy coś, co nie jest zgodne z naturą. Jak ty wyglądasz? Jak gówniarz. W twoim wieku... Ja też, zdaje się, nie wyglądam zbyt poważnie. O innych nie mówię, bo mało mnie obchodzą. A jak raz naruszy się porządek natury, to trudno skończyć. Porządek nie lubi nieporządku. Sprawa nawet niebu może wymknąć się spod kontroli.

Taki jest Grzegorz. Protestować protestuje, a kiedy przychodzi ponieść konsekwencje, to piętrzy obiekcje. A przecież trudno pogodzić się ze starością. Mieliśmy patrzeć bezczynnie, jak starość coraz bardziej zagarnia nasze życie i czyni z nas swoich niewolników? Co do mnie, uważam, że racja była po naszej stronie i gdyby jeszcze raz przyszło mi wziąć udział w podobnej manifestacji, to nie wahałbym się ani przez chwilę.

W domu odbyło się bez specjalnych powitań. Żona udała, że niczego nie widzi, pozostali domownicy w ogóle na mnie nie spojrzeli. Coś przełknąłem i poszedłem wcześniej spać. Spałem długo, ale niespokojnie, a kiedy się obudziłem i spojrzałem w okno, zobaczyłem zadeszczone szyby i pochmurne niebo. Pierwsze kroki skierowałem do lustra. Zapaliłem światło, żeby lepiej widzieć. Zobaczyłem siwego starca, dokładnie takiego, jakim byłem poprzedniego dnia rano. Z Grzegorzem jest pewnie podobnie. Krótka trwało nasze zwycięstwo, ale tak jest z większością zwycięstw.

Kiedy się wypogodzi, pójdziemy dalej zwyciężać”.

Iwona Smolka: Pośmieliśmy się wszyscy. W pana sztukach i utworach często pojawiają się siwe głowy. Jest takie opowiadanie *Bramkarz*, w którym występuje cała drużyna starców. Wreszcie następuje ich transfer do historii, ponieważ nikt już ich nie chce. Jedynym słowem cudów nie ma. Czy są?

Henryk Bardijewski: Myślę, że starość i starzenie się to piękny temat, zresztą mocno eksploatowany w literaturze. Staratem się dodać do niego coś od siebie. Czy mi się udało – nie wiem. Może jeszcze coś dodam.

Iwona Smolka: Laudację wygłosi teraz Waław Tkaczuk...

Waław Tkaczuk: To, co mnie upoważnia, żeby mówić publicznie o Henryku Bardijewskim przy tak uroczystej okazji jubileuszowej, to jako taka znajomość jego twórczości oraz bliski kontakt z jedną jej dziedziną, wynikający z tego, że z Henrykiem Bardijewskim zdarzyło mi się współpracować w Teatrze Polskiego Radia, w którym przez wiele lat byłem kierownikiem literackim. Z dużą przyjemnością widzę na sali także innych kombatanów sprawy radiowej. Do jubileuszu indywidualnego Henryka Bardijewskiego pozwolę sobie dorzucić zapowiedź przyszłorocznego jubileuszu 85-lecia polskiego słuchowiska, w którym to gatunek sztuki ogromny wkład ma Henryk Bardijewski od czasu swojego debiutu w roku 1956.

Mam taki zwyczaj, że mówiąc w radiu o czyjejś twórczości, zawsze przynoszę ze sobą książki autora i – nawet jeśli nie zaglądam do nich w trakcie audycji – to mam dzięki nim poczucie bezpieczeństwa. Dzisiaj przyniosłem tylko dwie – słuchowiska *Szepty podszeptu* i zbiór opowiadań *Przelotna radość*, bo gdybym przyniósł wszystkie książki Henryka Bardijewskiego, to nie byłoby mnie spoza nich widać. Gdybym miał jeszcze nawiązać do wymiaru bibliograficznego, to mógłbym państwu polecić kilka wydań zbiorowych. Jeśli chodzi o dramaty, to wydanie PIW-u z 1981 roku oraz *Arię na sześć głosów* z 2004 roku, zawierającą 16 utworów. Jeśli chodzi z kolei o radio, to *Siłę przyciągania* z 1973 oraz dwa tomy małych dramatów pod tytułem *Pangea*, wielki spektakl w 17 odsłonach, jak to nazwał Michał Sprusiński, który napisał wstęp do tej książki, wydanej w 1984 roku. Można przypomnieć tutaj słuchowisko Henryka Bardijewskiego *Portret starszego pana z książką*. Jest to opowieść o bibliotekarzu, który spóźnia się na swój jubileusz. Pytany na końcu, co by zmienił w swoim życiu, gdyby mógł je przeżyć jeszcze raz, mówi: „Czy ja wiem? Pewnie bym się postarał nie spóźnić na jubileusz”. Henryk Bardijewski nie spóźnił się z książkami na swój jubileusz, jak to już wyliczyła Iwona Smolka. Ja tę twórczość znam z bliska, ale z pewnymi lukami. Na przykład nie czytałem utworów jubilata pisanych dla dzieci, dla teatru młodzieżowego, a wiem, że przywiązuje on do nich dużą wagę, o czym świadczą zresztą motywy baśniowe w jego twórczości dla dorosłych. Gdybyśmy chcieli ją scharakteryzować, dokonując podziału ze względu na tematykę, to moglibyśmy mówić o nurcie żartu historiozoficznego, o nurcie baśni i mitów, wreszcie o nurcie obyczajowości i historii. O historii pisał Henryk Bardijewski najmniej, zwłaszcza o tej aktualnej, ale mowa o niej na przykład w słuchowisku *Bań*, którego akcja rozgrywa się na zapleczu frontu kończącej się II wojny światowej, czy w *Małej suicie polskiej*, gdzie z kolei mamy do czynienia z reliktem tej wojny, ze schronem

zbudowanym pośrodku pola. Henryk Bardijewski jest mistrzem formy dramatycznej, a przecież to pokolenie, do którego należy, traktowało dramat trochę z dystansem. Jest to pokolenie „Współczesności”, z którego wywodzą się też inni autorzy radiowi, jak na przykład Jerzy Krzysztoń, Jerzy Abramow, jak obecny tutaj z nami i mający ogromne zasługi dla twórczości radiowej Janusz Krasiński czy również tutaj obecny Eugeniusz Kabatc. Nie będę się rozwodził nad tym, dlaczego akurat radio było tak pociągającą formą dla tego pokolenia, ale dodam jeszcze, że przecież spora część twórczości Grochowiaka to dramaturgia radiowa. Wszyscy oni debiutowali po październiku 1956 roku. Dzisiaj jesteśmy skłonni lekceważyć przełomowość tamtej chwili historycznej, ale jej znaczenie potwierdzone jest istnieniem wielu ważnych dzieł. Wtedy to właśnie też doceniliśmy wartość absurdu w teatrze, między innymi dzięki głośnej pracy Martina Esslina, podsumowującej cały nurt teatru absurdu, na który składa się twórczość Becketta, Pintera, Ionesco i innych. To ta tradycja kształtowała autorów wspomnianego pokolenia, w tym naszego jubilata. To ona przyniosła ze sobą ośmielenie wyobraźni, dzięki czemu na swoją niepodległość twórczą wybijali się właśnie ludzie kręgu „Współczesności”.

Trzeba powiedzieć, że Henryk Bardijewski równocześnie pozostał bardzo wierny klasycznym zasadom dramatu. Dlatego właśnie tak ważne miejsce w jego twórczości zajmuje komedia dwu- lub trzyaktowa. W tej dziedzinie jubilat podążał śladami mistrzów. Wojciech Natanson nie wahał się przywoływać spuścizny Aleksandra Fredry i określać jej mianem tradycji, do której można przymierzać twórczość Henryka Bardijewskiego. Warto zwrócić uwagę także na znaczenie sytuacyjności w dramacie. Trochę zapomnianym, choć stosunkowo świeżym tekstem, jest dramat, w którym główną rolę na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego grał obecny tutaj Ignacy Gogolewski, zatytułowany bodajże *Jesteś mój* (ten tytuł przechodził rozmaite perypetie). Można ukazać paralelność tego dramatu i zastosowanego w nim chwytu zawiązania akcji w stosunku do pomysłu znanego z utworu Rolanda Topora *Jako świętuje rocznicę*.

Chcę wreszcie powiedzieć o czymś, co jest bardzo ważne w twórczości Henryka Bardijewskiego, a mianowicie o jej osadzeniu w realiach społecznych i o preferencjach jej autora związanych z wyborem określonych motywów i sytuacji oraz profesji często pojawiających się w tekstach Bardijewskiego, które wykonują wykreowani przez niego bohaterowie. Występuje tu na przykład zegarmistrz, znajdziemy u niego także inne odmiany rzemiosła. Co więcej, w utworach jubilata napotkamy postaci pełniące funkcje decydujące o stabilności społecznej: burmistrz czy prezydent miasta. Im bliżej współczesności, tym bardziej ta stabilność się chwieje, ale Henryk Bardijewski przekonuje nas, że taki układ społeczny ma swoje wartości i śmieszności. W tekstach jubilata muszą pojawić się także wikary, proboszcz i mecenas. Z pogranicza świata stabilności społecznej i świata fantazmatycznego jest powracająca często w jego utworach postać poety w rozlicznych uwikłaniach wynikających z polskich tradycji i rewizji tych tradycji. Nawet kwestie transformacji ustrojowej poruszane w pisanych przez Henryka Bardijewskiego dramatach są uniwersalne dzięki jego umiejętności znalezienia właściwego języka umożliwiającego prezentację społecznych napięć i jednocześnie wyzwalającego uśmiech lub, wcale często, śmiech.

Wśród motywów charakterystycznych dla twórczości Henryka Bardijewskiego brakuje mi młodości. Niemal od początku swojej pracy literackiej autor kreuje bohaterów dojrzałych. Tworzony przez niego narrator pozostaje zdystansowany, a ten dystans sugeruje, że ów narrator jest nobliwy. To także efekt przeniesienia akcji na plan – użycie górnolotnego słowa – metafizyczny. Wróćmy jeszcze na moment do roku 1956 – to właśnie wtedy w Polsce Irena Ślawińska zaczyna przeszczepiać na grunt polski teorię dramatu poetyckiego rozumianego jako odrębny gatunek literacki. Opisana tendencja w twórczości jubilata jest tego pogłosem, niekoniecznie zatem, żeby zrozumieć jej specyfikę, musimy odwoływać się do tradycji teatru absurdu. Wystarczy dramat poetycki, w którym motywacje nie wywodzą się z okoliczności historycznych, ale lęgną się w słowach, wynikają z racji psychicznych i najgłębiej zakorzenionych tęsknot bohaterów.

Jeszcze jedna tradycja, na którą trzeba zwrócić uwagę, a z której wyrasta twórczość jubilata, to powiastka filozoficzna – gatunek oświeceniowy. W realizacji Henryka Bardijewskiego traci ona oświeceniowe zadufanie i podszyta jest autentycznymi dramatami ludzkimi, które nie podlegają jednak wyolbrzymieniu. Jeśli mówimy współcześnie o niektórych poetach czy prozaikach, że są romantykami postmodernizmu, to możemy też powiedzieć – jeśli bawi nas taka gra terminologiczna – że Henryk Bardijewski, wyrozumiały dla ludzi i pozostający w empatycznej relacji z wykreowanymi przez siebie bohaterami, jest preromantykiem epoki postmodernizmu.

Trzeba jeszcze powiedzieć o stosunku jubilata do słowa. Twórczość Henryka Bardijewskiego to w literaturze współczesnej bezcenne świadectwo inteligentkiej polszczyzny. Przetrwiała ona właśnie pod piórem tego autora. W jego tekstach błyszczy ona i skrzy się. To coś znakomitego! Jak już powiedziałem, w tekstach Henryka Bardijewskiego brakuje młodości i żywiołowości, ale jego literacki świat został uporządkowany w taki sposób, żebyśmy mogli się wzajemnie usłyszeć, co jest niezwykle istotne. To wszystko składa się na pewne zjawisko nadrzędne wobec uprawianych przez autora gatunków literackich. Nosi ono miano pisarstwa Henryka Bardijewskiego – chciałbym to bardzo mocno podkreślić.

Na zakończenie tej laudacji powiem, że o ile jubilat nie jest szczególnie wyczulony na nowomowę czy język młodzieży, o tyle znakomicie wychwytuje wszelkie śmieszne i rozrzuwające niuanse wypowiedzi. W tym miejscu muszę przeprosić Henryka Bardijewskiego za to, że będę się powtarzał, bo dowcip, który chcę państwu opowiedzieć, wybrzmiał już na antenie radiowej. Otóż do nieba trafia niewierzący i domaga się, żeby go wpuścić. Powstaje zator. Skoro jest niebo, to ja chcę do nieba – niewierzący upiera się przy swoim. Święty Piotr mówi, że podjęcie decyzji w tej sprawie przerasta jego kompetencje. Rozmowa się przedłuża, oczekujący w kolejce zaczynają się burzyć, w końcu Święty Piotr mówi, że musi udać się do szefa, żeby rozstrzygnął, jak ma się znaleźć w tej sytuacji. Wchodzi do Pana Boga, na co ten krzywi się i pyta: – Co, znowu będziesz nudził? Święty Piotr referuje zdarzenia, na co Bóg odpowiada: – No tak, wiesz co, najlepiej powiedz im, że mnie nie ma.

To mogłoby być opowiadanie jubilata. W jego twórczości pojawia się właśnie taki typ humoru. Obserwacja, że rzeczywistość mówi Bardijewskim, to na pewno zwyczajstwo pisarza.

Iwona Smolka: Bardzo, bardzo dziękuję Wacławowi Tkaczukowi. Chciałabym dodać, że kiedy czytam opowiadania Henryka Bardijewskiego, to myślę, że ich pokrewieństwo z pisarstwem Szaniawskiego jest wyczuwalne. Dzieje się tak pewnie także dlatego, że mamy do czynienia z językiem inteligenta. Mała próbka: w dramacie *Skrzydła* napisanym przez jubilata wszyscy bohaterowie albo latają, albo chcą fruwać, jednak nie wszystkim się to udaje. Wtedy jeden murarz mówi do drugiego: – Mamy fruwać? A niech sobie umysłowi latają. Na tym typie dialogu opiera się pisarstwo Henryka Bardijewskiego. Wydaje mi się, że nadrealizm jest panu bardzo bliski?

Henryk Bardijewski: Jest mi bliski. Okazuje się, że trzeba długo, długo żyć, żeby usłyszeć o sobie kilka rzeczy, które nie przyszłyby mi do głowy. Dzięki panu Wacławowi dowiedziałem się dziś czegoś nowego, przede wszystkim tego, że w zasadzie jestem smutny i że moi bohaterowie także są smutni i leciwi. Postaram się nadrobić braki. Jeszcze ruszam piórem, dlatego, panie Wacławie, obiecuję panu utwór o młodości.

Iwona Smolka: W takim razie ja też będę czekać na taki tekst. Ale najpierw pójdzie pan w pochód z transparentem? A teraz proszę Andrzeja Ferenc o przeczytanie opowiadania *Rzecz nie do wiary*:

Andrzej Ferenc: „Wszystko zaczęło się od tego, że odkryłem u siebie dwa charaktery pisma. Co najmniej dwa. Niby nic ważnego, ale problem powstaje, kiedy przyjdzie podpisywać weksle i inne papiery bankowe. Moi korespondenci także zauważyli zmianę charakteru pisma, bowiem w listach do znajomych i przyjaciół nie używam komputera ani maszyny. Co gorsze, w listach pisanych tym drugim, powiedzmy, nowszym charakterem, ujawniam się podobno jako ktoś zgoła inny, dotąd nieznany, do tego mało sympatyczny.

Udałem się z tym do Pawła, przyjaciela z lat studenckich, specjalisty od wszystkiego, a zwłaszcza spraw trudnych. Wysłuchał mnie uważnie, potem podsunął papier, pióro i kazał pisać. Ale na zawołanie mam jeden charakter pisma, nie dwa. Więc napisałem kilka słów jednym, tym starszym. Paweł przeczytał i spojrzał na mnie z przestraszeniem. Napisałem, okazało się, w jakimś obcym, egzotycznym języku, w dodatku nic przyjemnego, bo groźbę, a właściwie klątwę. Paweł, który zna wszystkie języki, uznał to za poważny przypadek.

– Ktoś w tobie siedzi – powiedział. – Ktoś obcy. To się zdarza, zawsze zdarzało. Ktoś nowy, obcy, wchodzi w ciało już istniejące, częściowo zajęte.

– Ale moje nie jest częściowo zajęte! – oburzyłem się. – Jest całkowicie zajęte, kompletnie, wykorzystane w stu procentach.

Lecz Paweł był innego zdania.

– To się tylko tak wydaje. Miałeś w sobie, widać, spore luzu, dużo pustej przestrzeni. Dotyczy to zarówno ciała, jak i psychiki, mówiąc mniej dokładnie, duszy. Nie byłeś, mój drogi, pełnym człowiekiem, i ktoś to wykorzystał.

Oczywiście, nie dałem temu wiary. Uważałem się zawsze za człowieka szczelnie wypełnionego sobą, nie ma we mnie miejsca na jakieś obce ciało duchowe. Może owo

ciało duchowe brzmi nieco dziwnie, ale dobrze oddaje istotę rzeczy. Kto bystry, ten pojmie.

Pożegnałem się z Pawłem chłodno i pomyślałem, że dobrze byłoby spotkać się z Wandą, przyjaciółką od serca, z którą już dwa razy miałem się ożenić, ale po dwakroć ubiegł mnie ktoś inny. Wanda, dwukrotnie rozwiedziona, mieszkała sama w mieszkaniu za dużym na dwie osoby, a coś dopiero jedną. Jak zwykle, powitała mnie radośnie, chociaż miała gościa, dobrze zakonserwowanego pana po sześćdziesiątce, a może po siedemdziesiątce, w każdym razie z dużymi pretensjami do męskości. Czyżby kandydat na trzeciego męża? Nie był zachwycony moim najściem, lecz po chwili lody zostały przełamane i zgodnie zasiedliśmy do herbaty. Wanda, trzeba dodać, chociaż to nieistotne, była w peniuarze.

Opowiedziałem im o mojej przypadłości z podwójnym charakterem pisma i z grubsza przedstawiłem przebieg rozmowy z Pawłem. Na początku śmiali się, potem spoważnieli, zwłaszcza gość. Jak się okazało, rzecz nie była dla niego nowa, wręcz przeciwnie, męczył się z czymś podobnym od dosyć dawna.

– Też podwójny charakter pisma?... – zawołałem zdziwiony.

– Podwójny charakter – rzekł gość – ale nie pisma.

– A czego? – spytałem.

Gość spojrział na mnie jakoś dziwnie. Potem wyjaśnił, że chodzi po prostu o charakter jako taki. I nie tylko o charakter, dodał, także o osobowość. Właściwie są w nim dwie osoby, wyjaśnił. Wanda przyjęła to jako rzecz niemal zwyczajną, mnie jednak rzecz zaniepokoiła.

– A teraz z kim mam przyjemność – spytałem – z panem, czy z tym drugim?

– Ten drugi to też ja – odparł. – Rzecz w tym, że sam się w tym gubię.

Takich pogubionych w sobie może być więcej, pomyślałem, i dobrze byłoby jakoś im pomóc. Im, a przy okazji sobie.

Minęły dwa tygodnie i nic się nie poprawiło. Życie toczyło się jakoś od niechcenia, i to w całym kraju. Postanowiłem ponownie odwiedzić Wandę. Tym razem była ubrana niemal wyjściowo, w peniuarze siedziała za to jej sąsiadka, przyjaciółka Zula, zwana także Bubą. Obie wyglądały na znużone, czemu winny był dzień, podobno bardzo męczący.

– I co? – spytała Wanda.

– Bez zmian.

– Opowiedziałam o twoim przypadku znajomemu księdzu, osobie bardzo otwartej. Zainteresował się, ale sam do ciebie nie przyjdzie. Ty musisz pójść do niego.

– Po co?

– Pomógł już niejednemu.

– Ale potem człowiek odczuwa uzależnienie od kościoła.

– Coś za coś, mój drogi. Są gorsze uzależnienia. To zresztą jest, jeżeli chcesz wiedzieć, najlepsze z możliwych.

Przekonała mnie i zgodziłem się. Ksiądz Michał przyjął mnie w sadzie, wśród jabłoni, między którymi latały pszczoły.

– Śmiało – zachęcił mnie. – Dobrych ludzi nie gryzą.

Jedna mnie jednak omal nie ukąsiła, co ksiądz zastanowiło. Spytał, jak jest z psami, czy lecą do mnie z zębami. Nie lubię psów, wyznałem, i one o tym wiedzą. Powiedziawszy to, trochę się zawstydzilem. Niesłusznie, okazało się, bo ksiądz Michał też za psami nie przepadał. Za dużo ich, powiedział, w naszej parafii, a w okolicznych parafiach jeszcze więcej. Ale nie przyszedłem, rzecz jasna, rozmawiać o psach i ksiądz o tym pamiętał. Nawiązał do rzeczy bardzo fachowo.

– Duszę człowiek ma jedną – rzekł – ale ta jedność nie dotyczy osobowości. Chodzi o to, żeby wszystkie pańskie osoby były przyzwoite.

– Na razie mam tylko dwa charaktery pisma – odparłem. – Do dwóch osobowości jeszcze daleko.

– Tak to się zaczyna, mój panie. Od małego. Zresztą charakter pisma to rzecz niemała, sięga głębin człowieka, i kto wie, czy nie jest ważniejsze samo pismo niż to, co napisane. Jak pan myśli, skąd się bierze ta powszechna ucieczka od pisma w stronę maszyn, tych wszystkich komputerów, notebooków, esemesów i tak dalej? Ze strachu, mój panie, ze strachu przed samym sobą i przed innymi. To jest ucieczka w anonimowość. Dzisiaj anonimowość jawi się jako bezpieczna przystań. Ale to złudzenie. Nie ma przystani, stale płyniemy po wzburzonym morzu.

Ksiądz uniósł obie ręce w górę, ale tylko po to, żeby zdjąć z drzewa kilka jabłek. Czuli się, że nie lubił nikogo naśladować, nawet za cenę odejścia od ortodoksji. A potem dodał:

– Jeszcze pan nie zgrzeszył. Porozmawiamy, kiedy pan nagrzeszy.

I to był koniec wizyty. Na pożegnanie dostałem kilka jabłek, lecz odchodziłem niezbyt upewniony w sobie, jeżeli umocniony, to chyba w rozterce, tym większej, że wspartej autorytetem osoby duchownej.

Następnego dnia miałem już telefon od Wandy.

– No i co? – spytała.

– Bez zmian – odparłem.

– To ci się tylko tak wydaje. Dzwonił do mnie ksiądz Michał. Zauważył w sobie jakieś zmiany. Jest go więcej, powiedział. Jakby dwie osoby. I jest z tego powodu zadowolony, niemal szczęśliwy.

– Widać był bardzo samotny.

– Tak jak ty.

– Ale mnie niczego nie brakuje. Chciałem powiedzieć, nikogo. A co u ciebie?

– Nie najlepiej.

– Dlaczego?

– Są chwile, kiedy jestem podwójna. Nie wiem, co o tym myśleć. Nawet nie wiem, czy to jest przyjemne. I podejrzewam, że to ty jesteś rozsądnikiem tej przypadłości.

To śmieszne, uznałem, i pożegnałem się chłodno. Przypomniałem sobie o moim przyjacielu Pawle. Zadzwoiłem. Cisza. Dzwoniłem kilka razy. Nie odpowiadał na telefony,

ale w końcu spotkałem go, a właściwie przytapałem, pod domem. Skrzywił się na mój widok, chociaż nigdy wcześniej tego nie robił.

– To wy... – rzekł niechętnie. – My idziemy właśnie do miasta.

– Wy? – spytałem zdziwiony.

– My.

Był, rzecz jasna, sam. Już wiedziałem, że przytrafiło mu się coś złego. Wiadomo co. Wyglądał co prawda jak zawsze, ale pozory mylą. Mnie jednak nie zmyliły. Jego oczami spoglądał ktoś obcy. Nie wiedziałem tylko, czy jedna obca osoba, czy tych obcych osób było więcej.

Porozmawialiśmy chwilę w tym szerszym, że tak powiem, gronie, a potem zostawiłem go, a właściwie ich, samych, uznawszy że we własnym towarzystwie będą czuli się najlepiej. Tymczasem w domu niespodzianka: wiadomość od księdza Michała, że chętnie mnie zobaczy. W ten uprzejmy sposób kapłan zawiadamiał, że mam się natychmiast stawić na plebanii.

Mogłem pójść, mogłem nie pójść, różne głosy w sobie słyszałem. Ostatecznie przeważały te nakazujące usłuchać księdza i poszedłem. Znowu przyjął mnie w sady, lecz jabłko już nie było, bo spadły. Uśmiechnął się na mój widok, a właściwie roześmiał.

– To nie do wiary, jakie życie jest bogate! – zawołał.

– Ale ludzie biedni – odparłem trochę wbrew sobie, bo czułem się, jeżeli tak można powiedzieć, dostatnio.

– Kto żyje, ten jest bogaty w życie – rzekł ksiądz Michał. – To jest coś, czego nie można kupić, można jedynie otrzymać, bo to dar. I nic nie szkodzi – i to właśnie chciałem panu powiedzieć – że tego daru niekiedy jest więcej, a właściwie za dużo. To może jest trochę sprzeczne z naturą, ale nie z losem. Los ma swoje ukryte, nieprzeniknione prawa, których naszym rozumem nie pojmujemy. I dobrze – dzięki temu rozum nie jest przetadowany i jako tako sprawny. Ma nawet trochę miejsca dla wiary.

Słuchałem go nieco zmieszany. Najwyraźniej uważał, że i mnie dotknęła przypadłość zdublowania osobowości, a ja przecież miałem tylko dwa charaktery pisma i nic ponadto. Tak mi się przynajmniej wydawało. W tamtych dniach. Dzisiaj wiem, że było mnie wtedy więcej. Że było nas co najmniej dwóch. Ilu jest teraz – nie wiem i nawet boję się wiedzieć”.

Iwona Smolka: Podobną bohaterką jest pani F., która cały czas się zmienia, nie wiadomo, kim jest naprawdę – w opowiadaniu raz jawi się jako piękna i młoda, innym razem jako brzydka i dużo starsza. Nie wiadomo też, jaką ma osobowość. W dodatku czaruje.

Poza tym trzeba przypomnieć, że napisał pan kiedyś dramat, który był jednocześnie baśnią dla dorosłych – o miłości. Bohaterka była młoda.

Henryk Bardijewski: Naprawdę?

Iwona Smolka: Słowo daję.

Henryk Bardijewski: Tyle napisałem... Przyznam, że nie wszystko pamiętam. Bardzo się cieszę, kiedy ktoś coś czyta i przypomni. Boję się, że to, co teraz piszę,

może być zbyt podobne do tego, co już napisałem. Nie mówię już o innych autorach i ewentualnych podobieństwach. O tym nawet nie chcę myśleć, ale bywam podobny do siebie – to jest pewne niebezpieczeństwo.

Padło tu kilka nazwisk. Chciałem przy tej okazji przyznać się do tych pisarzy, do których było i jest mi najbliżej. Z polskich pisarzy to rzeczywiście Fredro i Szaniawski – ten ostatni zarówno w dziedzinie prozy, jak i dramatu. Szaniawski dziś może wydaje się wielu osobom trochę staroświecki, ale jego pisarstwo ma swoje głębie. Z autorów obcych zawsze bardzo bliski był mi Czechow. Myślę, że tak już zostanie. Ostatnio zaczytuję się w Dostojewskim. Okazuje się, że i w jego prozie są ukryte pokłady humoru, który jest wprawdzie smutny, ale istnieje. Wraz z upływem czasu coraz więcej czytam. Może trzeba w tym dostrzegać jakąś prawidłowość?

Iwona Smolka: A może jest pan tak naprawdę smutnym pisarzem, który pozwala nam się śmiać? Każdy z pana dramatów, każde z opowiadań ma tę drugą warstwę. Czytając te teksty, chichoczymy, a po ich lekturze robi się nam jakoś niewyraźnie i dopada nas mały smutek. Co pan na to?

Henryk Bardijewski: Myślę, że to jest naśladowanie życia, które bywa zabawne, ale pod tą zabawą kryje się smutek. Trzeba widzieć jedno i drugie.

Iwona Smolka: Czasem mamy do czynienia też z ukrytą grozą, jak w opowiadaniu *Ucieczka*. Rzeczywistość okazuje się tam tak nieprzewidywalna, że zaczynamy się bać.

Andrzej Ferenc: *Ucieczka*:

„Wsiadłem do tej taksówki bez przekonania, bo wyglądała na bardzo wystuzoną. W środku czuło się spaliny, a siedzenie miała zapadnięte. Ale to nic w porównaniu z kierowcą – gdybym przyjrzał mu się wcześniej, z pewnością wybrałbym spacer. Twarz miał równie zaniedbaną jak jego samochód, do tego bezgranicznie smutną i zniechęconą do życia, a już na pewno do jazdy. Był chyba niewiele starszy od samochodu, którym mieliśmy jechać. Obejrzał mnie w lusterku i oświadczył ochryplym głosem, że za miasto nie pojedzie.

– Nie chcę jechać za miasto – odparłem.

– To gdzie pan chce jechać?

Nie czekając na odpowiedź, zaczął uruchamiać silnik. Szło to opornie, ale w końcu jakoś poszło. Nie ruszyliśmy jednak, bo nie chciał wejść bieg.

– Pojedziemy najpierw na wstecznym – oznajmił kierowca – a potem od razu wrzucimy dwójkę.

– Jak pan uważa – powiedziałem.

Wciąż jednak nie spytał, dokąd chcę jechać, samochód był dla niego ważniejszy niż droga, nie mówiąc o pasażerach. Ruszyliśmy i po małej chwili jechaliśmy już do przodu, co obaj przyjęliśmy z ulgą. Kierowca rzadko patrzył przed siebie, wciąż oglądał wewnątrz samochodu, jakby widział je po raz pierwszy.

– Szuka pan czegoś? – spytałem.

– Dokumentów. Gdzieś muszą tu leżeć.

– Ktoś zgubił?

– Ja zgubiłem. To znaczy, upuściłem. Ale znajdziemy. Pan chyba nietutejszy... Ja też nietutejszy.

– Z innego miasta? – zaniepokoiłem się.

– Z tego. Ale nietutejszy. Jeżeli pan woli – wyobcowany. *À propos* – gdzie by pan chciał jechać?

Podał adres. Pokręcił głowę.

– Nie ma takiego adresu.

– Ależ...

– Nie ma. Zawiozę pana gdzie indziej. Będzie pan zadowolony. A przedtem obwiozę pana po głównych ulicach. Zobaczysz pan, jakie to brzydkie miasto.

– Chętnie bym już wysiadł.

– Ja też, ale nie mogę. Taką mam robotę.

Przejechaliśmy bez szwanku skrzyżowanie na czerwonym świetle, potem przez pewien czas bez powodu jechaliśmy po chodniku. Kierowca znalazł dokumenty, ale wciąż czegoś szukał. Gdyby stanął, można by samochód przeszukać dokładniej, a ja mógłbym wysiąść, ale on wciąż jechał, nie stawał nawet na czerwonym świetle. Była jakaś nadzieja, że zatrzyma nas policja, ale na to zanadto nie liczyłem. Silnik też ciągle pracował i nie brakowało benzyny. Za to rozgadał się kierowca.

– Patrz pan, jaka tandeta !

Nie wiedziałem, gdzie mam patrzeć, żeby ją zobaczyć.

– Gdzie? – zapytałem.

– Wszędzie! Do wszystkich domów dobudowują piętra. Jak to wygląda?

Dla odmiany patrzył teraz w górę, co też nie służyło bezpiecznej jeździe. Wjechaliśmy w jakąś ulicę jednokierunkową, nie wiem po co, on też chyba nie wiedział. W dodatku jechaliśmy pod prąd, na szczęście dosyć wolno. Potem był placzyk z kościołem i zaraz drugi placzyk bez kościoła. Jeszcze dwie ulice i zajechaliśmy przed dworzec kolejowy, dokładnie w miejsce, gdzie wsiadłem. Wysadzi mnie, pomyślałem z ulgą. Nic z tego – minęliśmy dworzec i pojechaliśmy w stronę jakiegoś przedmieścia.

– Tu to jest dopiero brzydko – zauważył.

– To może nie jechać – zasugerowałem nieśmiało.

– Jakże nie jechać – trzeba wszystko zobaczyć!

Dziwne to było przedmieście, bo nie miało domów, tylko drzewa, do tego rzadko rosnące, i jeszcze rzadziej stojące latarnie. Od lat nie świecą, poinformował kierowca, a potem skrzyknął tak sprytnie, że znów znaleźliśmy się w mieście.

– Wkrótce wyjeżdżam stąd na zawsze – oznajmił. – Tutaj żyć nie sposób. Ludzie też brzydcy.

– Chyba nie wszyscy – rzekłem.

– Wszyscy.

– To pan także.

Zahamował tak ostro, że poleciałem do przodu. Potem jechaliśmy bardzo wolno, a kierowca zamyślony myślał. Dałem mu do myślenia, to pewne. Ale sobie też.

I tak myśleliśmy obaj, aż wjechaliśmy na latarnię. Huk, szkło z góry się sypie, z samochodu też, do tego ludzi, tych brzydkich, zebrała się cała gromada.

– Mam usterkę – rzekł kierowca. – To będzie nas kosztowało.

Nas, powiedział. I nagle zniknął. Wsiadłem nareszcie z samochodu, rozglądam się, a jego nigdzie nie ma. Pojawił się za to policjant i poprosił mnie o dokumenty i kartę wozu. Tłumaczę, że jestem tylko pasażerem, ale nie uwierzył.

– Znamy te numery – powiedział.

Wydał mi się brzydki, jak wszyscy zresztą otaczający nas ludzie. Po co tu przyjechałem? Daremnie usiłowałem sobie przypomnieć, a potem pomyślałem, że pewnie i ja jestem brzydki. Może zawsze byłem, a może dopiero tutaj zbrzydłem. Raczej tutaj.

– Szczęście, że jechałeś pan bez pasażera – ciągnął swoje policjant.

– Ja właśnie jestem pasażerem!

– Tak? W takim razie gdzie kierowca?

I zaraz podsuwa mi balonik, żebym dmuchał. Pasażer nie musi dmuchać, mówię, nawet może być pijany. A on zaraz, że jak pijany, to do izby wytrzeźwień. I gdybym nie oparł się stanowczo, byłbym tam wylądował – po raz pierwszy w życiu. Potem wyjaśniłem, że ja nie mam nawet prawa jazdy, ale to sprawę tylko pogorszyło. Nie warto takich rzeczy mówić. Nie dosyć, że taki jeździ, wydziwiał policjant, to jeszcze wozi ludzi.

– To może mandat? – zaproponowałem, żeby się jakoś uwolnić.

– Mandat to za jazdę – rzekł – a co z latarnią?

No tak, była jeszcze latarnia. Tu już wydatek mógł być większy. Nigdy w życiu nie płaciłem za latarnię.

– Za cztery tysie opony policzymy osobno – zabierał się do liczenia policjant. – A pięta zapasowa też pewnie tysa.

Ale tu nie miał racji, bo piątej w ogóle nie było. Więc za cztery tysie, liczył policjant, plus dodatkowy mandat za brak tylnej piątej. Nie wypadało dyskutować, chociaż dyskutować lubię, więc zamierzałem tylko porozmawiać o formie płatności i ewentualnej zniżce. Na szczęście nawet do tego nie doszło, bo radiofonizowany policjant został nagle wezwany do jakiejś nagłej sprawy, o wiele ważniejszej niż moja.

– Poczekaście tu – rzucił – zaraz wracam!

I pognał gdzieś w dół ulicy. Nie czekając, pognałem w drugą stronę. Dopiero potem przyszło mi do głowy, że mogłem zostawić w taksówce odciski palców, a już na pewno siedzenia. Nieważne, teraz jak najszybciej na dworzec, do pociągu, i w drogę... Z kim miałem spotkanie? Ze złym losem? Ze złym człowiekiem? Czy na pewno z człowiekiem?

W pociągu było niewielu pasażerów. Przeszedłem przez dwa wagony, nie mogłem sobie znaleźć miejsca. W trzecim wagonie spostrzegłem mojego kierowcę. Siedział skulony w rogu przedziału i patrzył na uciekające za oknem miasto. On także uciekał. Czyżby przede mną?..

Iwona Smolka: Panie Henryku, czy powie pan coś na koniec naszego spotkania?

Henryk Bardijewski: Autor jest przede wszystkim poruszony obecnością państwa. Widzę na sali tylu przyjaciół i tylu przyjaciół pisarzy. Jestem naprawdę wdzięczny,

że państwo poświęcili swój czas i zechcieli przyjść na to spotkanie. Bardzo, bardzo serdecznie dziękuję. Dziękuję również organizatorom tego spotkania, pani Iwonie Smolce...

Iwona Smolka: Przede wszystkim trzeba podziękować pani Joannie Strzeleckiej, dyrektor Domu Kultury Śródmieście, i Żanecie Nalewajk.

Henryk Bardijewski: Bardzo paniom dziękuję. Dziękuję również panu Wacławowi i panu Andrzejowi Ferencowi, który tak znakomicie czytał moje opowiadania. Naprawdę było to dla mnie bardzo przyjemne spotkanie. Tych spotkań mam bardzo niewiele. Rzeczywiście, wolę pisać, niż mówić, co zresztą państwo doskonale słyszają. Jeszcze raz serdecznie wszystkim państwu dziękuję.

**Jubileusz literacki Henryka Bardijewskiego odbył się
19 marca 2012 roku w Domu Kultury Śródmieście w Warszawie.**



Fotografia: Urszula Kubicz-Fik, *Wojna o echo*, Teatr Baj Warszawa 2006 (Królowa Furioso)



Fotografia: Urszula Kubicz-Fik, *Calineczka*, Będzin 2009 (Mysz)